

Łukasz Wojtczak

# Platan

Verwachsung



Redakcja: Łukasz Wojtczak

Projekt okładki: Łukasz Wojtczak

Korekta: Łukasz Wojtczak

Zdjęcia: Łukasz Wojtczak

Łamanie i skład: Łukasz Wojtczak

W ogóle wszystko ja.

# Prolog

Wyprawa do wnętrza głowy

## Znikanie

Gdy byłem mniej więcej w wieku mojego Tomka a więc – jak w bajce – dawno, dawno temu (tuż po tym jak sformował się węgiel ale przed wynalezieniem koła), pojechałem z rodzicami pierwszy i jedyny jak do tej pory raz na Śląsk. Była to wyprawa bardzo nietypowa i dziwna. Moją mamę zaprosiła tam na wakacje jakaś tajemnicza znajoma (pewnie jeszcze ze szkoły), z którą wcześniej nie miała żadnego kontaktu. Przynajmniej za mojej kadencji na tym świecie.

Spędziłem tam kilka dni, może tydzień. Nie pamiętam. No właśnie. Minął rok, dwa, dziesięć i gdzieś po drodze, w natłoku nowych zdarzeń, obraz tego miejsca zaczął blaknąć aż zniknął zupełnie. W międzyczasie byłem w stu innych miejscach – od Kanady, przez Płóńsk, do nigdy nie odwiedzanego sklepu hydraulicznego ulicę dalej. Tamto miejsce zaś przestało istnieć – zagracone kolejnymi zdarzeniami i zasnute zwykłym życiem.

Mniej więcej dwa lata temu, jakiś impuls w mojej łepetynie zapewne pomylił zakręt w synapsie i zamiast zapamiętać co mam kupić w Biedronce, poleciał gdzieś dalej. Zaczął kluczyć, błądzić, zapuszczać się coraz głębiej w ciemne zakamarki umysłu, aż dotarł do nie odwiedzanego od czterdziestu lat opuszczonego pałacu, ukrytego wśród wielkich, starych drzew. Gdzieś na Śląsku.

## Śledztwo

Pierwszą myślą był szok – jak działa ludzki mózg, że zapomina się takie rzeczy? Usunąć z pamięci cały wyjazd? Wpisałem w przeglądarkę frazę „opuszczony pałac na Śląsku” – jedyny przebłysk pamięci z tamtych dni. Ubawione google wywaliło mi pierdyliard destynacji dając do zrozumienia, że w ten sposób nic nie znajdę. Próbowałem więc szukać na mapach po omacku. Ale to nie było łatwe. Nie pamiętałem niczego. Żadnego punktu zaczepienia. Zaintrygowało mnie to. I uradowało. Wreszcie coś, czego nie da się ogarnąć w minutę, wreszcie jest jak kiedyś: potrzeba czasu, wysiłku, cierpliwości. Zacząłem wielomiesięczną zabawę w przypominanie.

Opuszczony pałac w dzikim parku. Dom. Mieszkaliśmy w domu (też mi odkrycie). Na końcu szutrowej drogi. Tak, gdy przyjechaliśmy tam (autobusem!), musieliśmy iść przez wieś według instrukcji gospodarzy, po czym skręcić z głównej drogi. A przy głównej ukryty był ten pałac.

Po raz kolejny zasiadałem do map. Przypomniało mi się, że zśliśmy z tobołami dość długo, autobus we wsi przystanku więc nie miał. Musieliśmy wysiąść wcześniej, pewnie przy jakieś krajowej albo wojewódzkiej drodze. Ale autobusem z Sochaczewa przecież nie dojechaliśmy. Dworzec kolejowy. Gdzieś w okolicy musiało być jakieś miasto. Duże? Małe? Chyba Średnie. Taki drugi Sochaczew. Nie, nie zgadnę. Jeszcze nie teraz. W głowie siedział mi ten pałac. Coś tam było. Albo było coś nie tak. Nie dawało mi to spokoju.

## Pałac

Staliśmy w środku. Włamaliśmy się, a może po prostu nie było drzwi. Przed nami duży, przestronny hol, gdzieś na piętrze zamurowane drzwi – wszyscy byliśmy pewni, że tam ukryto skarb (kim w ogóle były te dzieciaki?). Wciąż słyszę skrzypiące pod butami rozbite szkło. Z boku butwiejące schody. Gdzieś stoi biały, kafłowy piec (a może brązowy?). I ten zapach. Wilgoć starych cegieł i wapiennych zapraw. Ale to wszystko nie to, tam było coś osobliwego. Coś, co te dwa lata temu zassało do studni niepamięci moje myśli i ukazało zapomniany obraz. Oczami wyobraźni wyszedłem z opustoszałych komnat budynku. Stałem twarzą do wejścia i próbowałem odtworzyć zapomnianą fasadę pałacu. I wtedy olśniło mnie. To nie pałac mnie wołał. Obróciłem wyimaginowany wzrok w lewo (tak, to lewo zapamiętałem doskonale).

## Platan

Było ogromne. Rozrastało się po całej mojej głowie. Jeszcze wtedy, gdy byłem dzieckiem, nie wiedziałem, że to platan. Dla mnie było wielkim, drzewem, jakiego do tamtej pory jeszcze nie spotkałem. Jak na swój wiek byłem wtedy niezłym dendrologiem – rozpoznawałem drzewa po liściach ale też po kształcie czy fakturze kory. Ale takiego nie znałem. Nie w tym jednak tkwiła jego tajemnica. Wreszcie sobie przypomniałem. Dwa masywne konary połączone były kolejnym. Tak po prostu. Z jednego wyrastała gruba gałąź i wrastała w drugą. Tworzyły pętle. Albo połączenie. Most. Zagięcie przestrzeni.

Hej, dobra – byłem kiedyś na Śląsku, chodziłem po opuszczonym pałacu, obok rosły wielkie drzewa których nie znałem, łąziłem z dzieciakami na czarne jak noc czereśnie w opuszczonym sadzie, zbierałem na polu krzemienie a gospodarz miał kaczkę. Ale takich anomalii nie ma. Konar wrósł sobie w drugi? Przez kilkadziesiąt lat sobie powoli celował aż się wbił?

A może zaczęły z dwóch stron i zakończyły cumowanie po środku? A może mi się to jednak przyśniło?

Cóż, postanowiłem to sprawdzić. Pojadę i znajdę cię – uroczyście poprzysiągłem.

Rowerem.



Część pierwsza

W przededniu

## Oczekiwanie

Minęło wiele miesięcy. Przez ten czas stopniowo, bez pośpiechu, niczym archeolog, zdejmowałem cierpliwie warstwy osadnicze z mojej niepamięci, dokopując się do coraz większej ilości detali: zapuszczony sad czereśniowy, „nasz” dom bliźniaczo połączony z drugim, góra o dwóch wierzchołkach mająca gdzieś na horyzoncie, stroma ulica nieopodal (na którą wspinałem się z tatą rowerem, by później szybko z niej zjechać - zgaduję, że rower pożyczyci nam gospodarze). Spichlerz niemalże identyczny jak ten przy szkole muzycznej w moim rodzinnym mieście. Córka gospodarzy. Chyba Baśka. A może Magda? Albo Monika. Te dzieciaki to jej wiejska paczka. To oni zabierali mnie na szaber i pałacowy urbex.

W końcu, po wielu bezowocnych poszukiwaniach, namierzyłem tą wieś na mapie. Wszystko się zgadzało. Świebodzice. Linia kolejowa. Od niego idąca na północ droga krajowa. Kilkanaście kilometrów dalej odbijała od niej w prawo mała ulica, wzdłuż której położona była wieś. TA wieś. Siodłkowice. Obok park. Wóz google sunął wzdłuż starego płotu założenia pałacowego, przez bramę już nie wjechał. Tamto miejsce nadal było nieodkryte. Gdzieś tam krył się pałac, stare drzewa i ich tajemnice.

Zdawałem sobie sprawę, że wyprawa pod Wałbrzych rowerem to nie jest mały pikuś ale ponad 400km. Nie odległość była tu jednak przeszkodą. Czas. Czas to deficytowy towar przy dwójce dzieci (i psie). Wyprawa do Siodłkowic powędrowała więc do folderu „kiedyś”, zapisanego tuż obok drugiego – „nigdy”. Aż w końcu, Anno Domini 2024, pojawiła się szansa jedna na milion: miałem na tydzień zostać sam w domu.

## Przygotowania

Jadę. Muszę. Przecież złożyłem przysięgę (platanowi), że do niego pojedę (rowerem). Miałem trzy miesiące na przygotowanie się do podróży. Tyczyłem optymalną trasę, szukałem noclegów, robiłem checklistę rzeczy do zabrania. Gdy wszystko miałem zapięte na niemal ostatni guzik, dwa tygodnie przed wyjazdem, Śląsk nawiedziła powódź. Zacząłem poważnie zastanawiać się nad rezygnacją z wyjazdu. Nie tylko z uwagi na logistyczne utrudnienia. Miałem moralny dylemat czy to jest dobry moment na krajoznawcze wycieczki w czasie i miejscu ludzkich tragedii. Gdy woda opadła zacząłem jednak czytać o błagalnych apelach, by nie odwoływać rezerwacji bo to kolejny cios

dla lokalnej społeczności. Mimo wprowadzenia stanu klęski żywiołowej na terenie powiatu, do którego jadę, postanowiłem planów nie zmieniać.

Ale zmieniłem.

## Wind of Change

Tydzień przed wyjazdem zaczęły do mnie docierać pierwsze sygnały o załamaniu pogody. Od zakończenia powodzi, nad całym krajem przepęłzał w kierunku zachodnim słoneczny, ciepły wyż. Ale dzień przed moim wyjazdem wszystko miało się zmienić. Nadciągało Zło. I nie chodzi o temperaturę (też), zachmurzenie czy opady. Nadchodził największy wróg rowerzysty: wiatr. A szefem wszystkich szefów w tym królestwie jest Lord Wmordęwind. Miało zacząć wiać z południowego zachodu. Nie. Nie wiać. Nakurwiać... Można jechać pod wiatr. Pewnie. Nawet dwadzieścia kilometrów. W wicherę też. Pewnie i z pięć...

W akcie desperacji i rozpacz, rzutem na taśmę, udało mi się jakimś cudem przebukować noclegi (tylko ten po środku ostał się na swoim miejscu – czy też raczej czasie), zamienić pociąg „z” na „do” i, z wielkim bólem serca, całą wyprawę wywróciłem do góry nogami. Postanowiłem dojechać pociągiem do pobliskich Świebodzic (to tam musiałem te kilka epok geologicznych temu dojechać z rodzicami, by przesiąść się w PKS do wsi). Stamtąd dotrzeć do celu podróży a następnie rozpocząć mozolny powrót. To już nie była wyprawa po złote runo a przekombinowana ucieczka do domu. Nie spodziewałem się, jaki sobie tym manewrem zgotowałem los.

Noc przed odjazdem spałem wyjątkowo niespokojnie.



# Część druga

## Pętla

## Ból

Wyszedłem z pociągu z potwornym bólem głowy. Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio tak się zepsułem. Pociąg oddalił się w stronę gór z kikutek dwóch wagonów, ostałych się po amputacji składu we Wrocławiu. Zostałem sam na pustym dworcu w Świebodzicach. Nikt inny nie wysiadał.

Wiało, przeraźliwie wiało. Nad głową płynęły mi, jak w przyspieszonym filmie, stalowoszare chmury, gdzieś nieopodal wiatr łomotał jakimś prętem. Pustka. Mimo godziny piętnastej. Przeszedłem przed front okazałego dworca i jak narkoman zacząłem drżącymi rękoma dokopywać się do nurofenu, wyrzucając na chodnik cały dobytek z torby. Lek był oczywiście na samym dnie.

Z głową było coraz gorzej. Zaczęło być mi niedobrze. To paradoksalnie uratowało mój wyjazd: gdybym miał więcej siły i rozumu, poszedłbym szukać kas biletowych by kupić bilet powrotny. Na wpuł przytomny, zrobiłem pierwsze zdjęcie przed dworcem i ruszyłem w nierówną walkę z głową, wiatrem i wyjątkowym poczuciem bezsensowności tego, co robię.

Początkowo krążyłem jak w malignie po pustawym mieście, nie rozumiejąc co pokazuje nawigacja, myśląc drogi, wracając w te same miejsca, zatrzymując się, ruszając ponownie. W końcu udało mi się wyrwać z uścisku Świebodzic i ruszyłem na północ, do celu. Było zimno, wiało, mózg wyphywał mi oczami a przede mną 450km drogi.

## Ślepowidzenie, gównno i fortepian

Droga nie była przyjemna. Krajówka. W dodatku raz w górę, raz w dół, w towarzystwie TIRów. Ale to tylko kilka kilometrów z dzisiejszej trzydziestokilometrowej pętli. Z prawej strony szosy rozległa panorama przedgórza, po lewej Sudety, jechałem ich skrajem. Po kilku kilometrach skręciłem, wjeżdżając w ich granice. Miałem nieopodal do odwiedzenia jedno miejsce, trochę poza narracją. Zadanie z gwiazdką.

Zaczął się masakryczny podjazd wijącą się uliczką. Na szczęście najgorszy z całej wyprawy. Tak przynajmniej wynikało z map. Ale mapy żyją własnym życiem więc pozostałem czujny. Pełzłem dalej. Głowa trochę odpuściła, już nie napierdala. Po prostu bardzo bolała. Co za cudowne uczucie.

Minąłem ostatnie domy. Gdzie ten cholerny dwór? Namierzyłem go podczas przygotowań do wyprawy - kryje w sobie również coś niesamowitego, bardzo chciałem zobaczyć to na własne oczy. Ale pałacu nigdzie nie ma. Wyparował.

Przeszedłem przez wpół domkniętą bramę na samym szczycie. Może gdzieś tu? Nic. Tylko krzaki. Zostawiły mi pamiątkę na resztę wyjazdu w postaci szramy na prawej nodze.

Wróciłem w dół i wtedy go zobaczyłem. Stał tuż przy drodze, na samym szczycie wzgórza. Przed chwilą obok niebo przejeżdżałem - nie sposób nie zauważyć. Ale ja potrafię. W niedostrzeganiu jestem naprawdę dobry. Przedarłem się z rowerem przez chaszczę, szukając wejścia. Jest. Władowałem się do środka z Romanem (naprawdę nie pisałem jeszcze, że mój rower ma tak na imię?). Powiedział, że nie chce zostać sam bo się boi a poza tym jest tu pełno gówien. Weszliśmy więc razem. Wiatr ucichł wytłumiony grubymi ścianami.

Zobaczyłem go od razu przez drugie drzwi. Leżał na środku salonu, jak prehistoryczne, martwe zwierze. Gruba warstwa brudu, wyrwane nogi, częściowo wypatroszone wnętrze. Poszczerbione zęby. Odruchowo dotknąłem go, by sprawdzić czy wydobędzie jeszcze jakiś dźwięk. Oczywiście milczał. Widok był niesamowity i przejmujący. Zatrzymał się czas a ja razem z nim. Stałem tak w ciszy patrząc na niego. On zdawał się z kolei wpatrywać pustym wzrokiem za okno. Wyglądasz jak moja niedoszła kariera muzyczna, pomyślałem.



Roman miał rację. Gdy przedzierałem się w stronę wyjścia w ogrodzeniu, zauważyłem na jego kołach brązowe artefakty. Ożesz ty kurwa. Wziąłem go na ręce, by nie wjechał w kolejne. Udało się, następnego nie zaliczył. Ale ja owszem. Na ulicy rozpocząłem więc moją ulubioną zabawę – grzebanie patykami w obuwiu. Tym razem na poziomie zaawansowanym gdyż musiałem, niczym zegarmistrz, precyzyjnie dłubać w przypiętych blokach od pedałów SPD (nie, nie chodzi o Socjaldemokratyczną Partię Niemiec). Chociaż dworek należał do rodziny Hochbergów.

## Kwasiborscy

Zjeżdżamy. Szatan kusi, by puścić hamulce.

- No jedź, będą lepsze statystyki, podbijesz średnią!
- Ale tam za 400 metrów jest krzyżówka z drogą krajową! – przekrzykuje go przez wiatr.
- Co? Droga krzyżowa? – wystraszył się i zamilkł.

Dojechałem do trasy w jednym kawałku. Na horyzoncie zobaczyłem wzgórze o podwójnym wierzchołku. Zapamiętałem je trochę inaczej, ale to na pewno było to. Będąc już na dole zorientowałem się też, że właśnie pokonałem ten sam zjazd, który w wieku siedmiu albo ośmiu lat, zaliczyłem na bagażniku jakiegoś wysłużonego Wigry 3. Powrót do przeszłości. Znów jestem dzieckiem. Tylko rower trochę większy. I resztki gówna w butach. Wiatr grał na szprychach i trzepotał otwartą torebką na ramie roweru. Widok ze stoku był piękny i złowrogi. Gdzieś daleko na południu piętrzyły się gigantyczne, sine cumulusy. Niedaleko przed sobą widziałem już wieś i ciemną ścianę drzew przypałacowego parku. Poczułem się dziwnie. Nieswojo. Something is no yes, mruknąłem i ruszyłem dalej.

Jechałem powoli wzdłuż parkowego muru. Po drugiej stronie nieliczne, ponemieckie zabudowania. Wiatr nie szalał tu jak na otwartej przestrzeni. Zatrzymałem się na krzyżówce. Przede mną ulica ginęła za pobliskim zakrętem. W prawo odbijała gruntowa droga. Tak. To tu skręciliśmy wieki temu, szukając lipcowym zmierzchem domu. Na lewo ode mnie wjazd do parku. Bez bramy między kamiennymi słupami. Za nimi droga, którą pochłaniała przerośnięta trawa, krzaki i drzewa. Przejście. Portal. Uskok w czasie.

Najpierw podjechałem zobaczyć dom. Prawie wszystko, o dziwo, wyglądało jak dawniej. Tylko na horyzoncie ktoś psuł klimat wznosząc budynek z gazobetonu. Nasza „kwatery” faktycznie była domem-bliźniakiem. Obraz

rozmazał się, płynnie przeszedł w czarno-białe odcienie: przed domem, w półmroku, pieli ogródek jakiś człowiek.

– Przepraszam, czy tu jest dom państwa Kwasiborskich?

– Właśnie tu!

Ja pierdolę, ile jeszcze terabajtów danych mam gdzieś zapisane w głowie? Czy w sprzyjających okolicznościach przypomniabym sobie całe życie? Wydawało mi się, że mózg, jak dysk twardy, ma swoją objętość i stare rzeczy się nadpisują. Jak widać nie.

Naprawdę nazywali się Kwasiborscy.

## Portal

Wróciłem pod bramę parku. A więc to tu, po trzech i pół dniach podróży przez Polskę, miałem w glorii zwycięzcy, do cna wyczerpany ale spełniony, po raz ostatni wykręcić ostatnie metry przed konfrontacją z własną pamięcią. Wyszło trochę na opak, cóż. Dobrze, że w ogóle. Przekroczyłem „portal” i wkroczyłem do Tajemniczego Ogródu. Zrobiło się bardzo cicho. Miałem wrażenie, że wiatr został z tyłu za otwartą bramą. Przede mną popękany asfalt. Zarośla. Wielkie, milczące drzewa. Po kilkunastu metrach stary zakaz wejścia. Z lewej strony, ukryte w wysokiej trawie, gigantycznie ruiny stajni albo oficyny. Do okrągłego okienka pod kalenicą budynku wspinał się po ścianie bluszcz. Sprawiał wrażenie, jakby z niego wypływał. Drugi zakaz. Nowszy. Zaraz zobaczę pewnie czachę wbitą na pal. Przez prześwit w drodze zobaczyłem fragmenty pałacu. Serce zabiło szybciej. Podjechałem bliżej i objawił się w całej okazałości. Majestatyczny, tajemniczy, oniryczny widok... spierdolony zaparkowanymi na podjeździe dwoma samochodami. W tym SUVem na warszawskich blachach. Za drzewami kolejne auta, gdzieś za pałacem następne. Czar prysł. Ja pierdolę. Tajemniczy Ogród zamienił się w swojski przydomowy parking i warsztat Janusza. Ktoś kupił pałac i go „rewitalizuje”...

Przez chwilę wróciła do mnie warszawska nerwica. W kieszeni telefon dopraszał się z przyzwyczajenia o zdjęcia na straż miejską. Policzyłem do dziesięciu, uspokoiłem się, wykadrowałem zdjęcie tak, by aut nie było widać. Stałem chwilę na wykoszonej trawie spoglądając na fasadę pałacu. A potem spojrzałem w lewo.

Podszedłem do platana.

## Rozmowa

Czekał na mnie. Był olbrzymi a ja znów byłem mały. Patrzyłem na niego z zadartą głową jak zahipnotyzowany. Zahipnotyzowany zrosniętymi konarami. A więc to była prawda. Pęd-łącznik, niczym gigantyczne łożysko obcej formy życia, spajało dwie plamiste odnogi drzewa w upiornie nierealny sposób.

– Oszukałeś mnie.

Eee... wtf? Kto, co...

– Oszukałeś mnie, miałeś przyjechać rowerem.

– Ale ja... Nie dało się, musiałem...

– Oszukałeś mnie. Złamałeś przysięgę. Spierdolę Ci wyjazd! – huknęło w bolącej wciąż głowie.

– Tak, ta głowa to moja sprawka. Jutro klątwa dosięgnie cię po raz drugi. A pojutrze znów. A pojutrze też! A teraz odejź. Muszę odpocząć...

– Platanie, no weź... Wrócę rowerem, to też wyzwanie.

– Z wiatrem się nie liczy. Poza tym – oszukałeś mnie.

Wróciłem, powoli prowadząc rower aż do wjazdowej bramy. Nie wiedziałem, że platany są takie pamiętliwe.



# Część trzecia

## Woda

## Zimny piec

Pierwszy nocleg wypadł w Świdnicy. Właściciel z wyglądu niebezpiecznie przypominał Himmlera (okrągłe, małe okulary plus wąsik). Przekazując mi klucze, oczywiście się rozgadał. Ja zaś stałem zziębnięty, głodny, brudny (wciąż z bólem głowy), marząc o prysznicu. Kiedy kończył opowieść o wszystkimwiedzącym koledze, który sprzedał swoje książki (dobrze, że nie spalił) a teraz nałogowo wciąga filmy na youtube o światowej kinematografii, zaczęło już się ściemniać.

Ruszyłem głodny na miasto. Jedyne czynny lokal to pizzeria na rynku. Z dań bezmięsnych miałem do wyboru schabowe, karkówkę, szaszłyki itd. Ostało się więc na pizzy. Chłopak za ladą potwierdził, że można zamówić, ale czas oczekiwania to 40-50 minut gdyż piec już jest zimny. Do tej pory ja pewnie byłbym też, ruszyłem więc na tour de żabka. Na raty, w trzech, oraz w jednym społem (który spokojnie pamięta czasy, gdy byłem w okolicach pierwszy raz), zrobiłem zakupy. Zaczęło padać. Wróciłem do domu pustym, ciemnym miastem. Dawno nie czułem się taki samotny. Dawno nie czułem się tak dobrze. Zjadłem i padłem trupem. O 21:00 już spałem.

## Oko Ślęży

Pierwsza myśl po obudzeniu była jak złoto: nie boli mnie głowa. Byłem jak nowo narodzony. Za oknem bezchmurne niebo a w saszetce obrzydliwa, wspaniała kawa instant. To będzie dobry dzień.

Ruszyłem w stronę Wrocławia. Po kilkunastu kilometrach – wow – zdjąłem kurtkę i pędziłem w krótkim rękawku. Wakacje! Z oddali przyglądała się nam (pamiętamy – jadę z Romanem) majestatycznie Ślęza. Wiatr dmuchał – ale w plecy. Na zjazdach układałem się w dolny chwyt i puszczałem (wszelkie) hamulce, ku wielkiej radości osobistego szatana. Zwłaszcza, gdy z naprzeciwka nadjeżdżał TIR. Po drodze zatrzymałem się przy kolejnym, opuszczonym pałacu, raz mikrozabłądziłem. Raz nawigacja przetargowała mnie drogą wzdłuż torów, tak wygodną, że zacząłem rozważania, czy nie będzie wygodniej jechać po podkładach. Ale to tylko epizody. Jechało się znakomicie. Ślęza co jakiś czas wyłaniała się zza horyzontu i bacznie obserwowała mnie swoim Okiem Saurona z telewizyjnej wieży na szczycie. Było dobrze. Do czasu.

Około 10 rano wjechałem w klasyczny suchy przestwór oceanu. Z drogi wojewódzkiej skręciłem w bezkresne łąki, wyglądające niczym płaskowyż

gdzieś wysoko w górach. Roman nurzał się w zieloność i żółtość (kukurydzy). Pole było tak rozległe, iż dopiero po dojechaniu do najwyższego punktu, mogłem z ulgą stwierdzić, że jednak gdzieś się kończy. Trawa, kukurydza, gruntowa droga. I Ślęza za plecami. Cały czas. W końcu dojechałem do granicy. Ocean kończył się szlabanem, domkiem wartowniczym, psem przy obejściu i torami. Z daleka wyglądało groźnie ale był to tylko samotny przejazd kolejowy. Za nim zaczynał się wreszcie asfalt. Ale nie tylko.

## Siostry

Na niebie płynęły powoli białe obłoki. Jechałem maleńką wsią na końcu świata (bądź na początku suchego przestworu oceanu). Kilka domów, jeden fantazyjnie obrośnięty winoroślą, oczywiście pojawiły się też ruiny jakiegoś ponemieckiego gospodarstwa. Przy drodze cień rzucały wielkie drzewa – z rodzaju tych, co napadają na kierowców. Tu stały spokojnie na nikogo się nie rzucając. Od jakiejś godziny nie widziałem na oczy żadnego auta. Wjechałem w las na końcu wsi. Jego lewym skrajem płynęła leniwie rzeczka. Wkrótce nieco przybrała. Po kilkuset metrach pojawiła kolejna, z drugiej strony. I nie była już strumyczkiem jak jej koleżanka z lewej. Przeobraziły się w leśne jeziora a ja mimowolnie znalazłem się na asfaltowej grobli. Okeej... Niebawem leśne siostry zapragnęły się spotkać po środku ulicy. Z początku niewinnie, nieśmiało, musnęły się tylko rękoma. Na skraju lasu, przy jakimś wyrobisku pobliskiej kopalni, rzuciły się jednak ku sobie jakby nie widziały się od stu lat. A przynajmniej od 1997 roku. Zatrzymałem się. Koniec drogi. Przede mną skrzyżowanie z rzeką. A właściwie jeziorem.

## Szarża

Roman rozszerzył nozdrza, zaczął potrząsać kierownicą, cofać się, to znów wyrwał do przodu. Zszedłem, poklepując go po siodełku. Woda przede mną wyglądała jeszcze jak kałuża, ale już parę metrów dalej przez ulicę sunął wartki nurt. Nie widać było, czy jest jeszcze pod nim asfalt, czy wyrwana przez wodę czarna dziura. Dalej rozlewała się na wieś.

– Zawracamy? – zapytał nieśmiało Roman, patrząc na mnie wzrokiem bitego psa.

– Przez suchego przestwór oceanu, w którym znów pół dnia omijać będziemy koralowe ostrowy burzanu?? Nie ma mowy.

– Ja tędy nie przejadę! – fuknął i obraził się.

I co teraz? Powrót do szosy nie wchodził w rachubę. Straciłbym zbyt wiele godzin i kilometrów, owego dnia miałem ich do pokonania niemal 150km. Jeśli dołożyłbym teraz kolejne dwadzieścia, ległbym gdzieś po trasie w rowie. Trzeba stanąć do walki z żywiołem.

– Romanie – zacząłem powoli – jesteśmy tu sami, otoczeni przez siły potężne i nieprzebrane. Wielu z nas nie doczeka końca dnia. Pomoc znikąd nie przybędzie. To Platan i jego kłątwa rzucił nam pod nogi i koła tę przeszkodę. Ale nie jesteśmy bezbronni – rozkręcałem się – mamy siebie. Mamy przerzutki z grupy Sora, litrowy bidon, elektrolity i suszone banany! Na pohybel! Na nich! Na śmierć!

– Na śmierć! – krzyknął Roman i ruszyliśmy w szarżę.

Szarża skończyła się po trzech metrach: na Romana przestała chyba działać moja przemowa. Może pomalowany na niebiesko Mel Gibson zdziałałby coś więcej. Natarcie nam utknęło ale posuwaliśmy się powoli dalej. I niestety głębiej. Woda zaczęła sięgać już przedniej zębatki, dalsze pedałowanie na ćwierć obrotu, by nie zanurzyć butów, przestało działać. Zanurzyliśmy się niemal do połowy kół. I brnęliśmy ku drugiemu brzegowi, kilkaset metrów przed nami. Udało się. Jesteśmy uratowani.

A nie.



Przed nami rzeka. Znowu. Tym razem prawdziwa. Na szczęście z mostem. Na drugim brzegu pilnowała domostw, szeroka po horyzont, ufortyfikowana linia worków z piaskiem. Obejrzałem się i stało się jasne, co tu się wyprawia. Gdzieś pod lasem znajdował się jakiś zbiornik – jezioro albo zalew. Wypływała z niego rzeka ale w innym miejscu przelewało się przez niego na drogę i w odległości kilkunastu metrów płynęły sobie równoległe dwa cieki. Zasadniczy problem polegał na tym, że ten pierwszy płynął drogą, w którą miałem skręcić przed mostem... A ja znalazłem się na wyspie.

Odpaliłem mapy w telefonie. Jest niedobrze. Droga na bezpiecznym brzegu zawija gdzieś hen na północ. Tędy nie pojedę. Cofnąć się nie mogę (i nie chcę). No a jechać rzeką... Takie rzeczy tylko w Panu Samochodziku. Zszedłem z powrotem z mostu lustrując teren. Kilkaset metrów dalej fantomowa rzeka skręcała ostro i prując pobocze, wracała do koryta tej właściwej. Ale taki kawał drogi rowerem po wodzie?

– Nie.

– Nie.

Byliśmy zgodni.

– Ja bym pojechał dalej i szukał drugiego mostu, którego nie ma – podsunął przytomnie Roman – żeby nim wrócić na właściwy brzeg... – dokończył niepewnie.

– Most, którego nie ma to nasz jedyny ratunek – odpowiedziałem równie mądrze i ruszyliśmy.

Skończyła się wieś. Mostu nie było.

Ale była kładka.

Gdy pędziłem już asfaltem, cisnąc w pedały by nadrobić stracony czas, odezwał się nagle do mnie (jak zwykle przy większych prędkościach) kolega szatan:

– A wiesz jak nazywała się ta rzeka?

– No nie wiem.

– Strzegomka.

– No i?

– A wiesz, że już ją spotkałeś?

– Masz mi coś ważnego do powiedzenia w tych swoich szatańskich wersetach czy tak z nudów zagajasz?

– Ona przepływała, jeszcze jako malutka strużka, koło tego parku z platanem. Tak tylko mówię.

## Watergate

Zatrzymałem się na popas przy polnej drodze, łagodnie opadającej do pobliskiego lasu. Słońce nadal przyjemnie grzało, śpiewały ptaki, wiatr szeleścił suchymi badyłami kukurydzy. Nieopodal, przy remontowanym przejeździe kolejowym, robotnicy swojsko rzucali kurwami, żywo gestykulując. Złota, polska jesień.

Coś majaczyło w gęstwinie drzew, nie zwróciłem na to chwilowo większej uwagi, pochłonięty pochłanianiem. Robotnicy nadal machali rękoma, wesoło gardłując. Miałem wrażenie, że w moją stronę. Skończyłem jeść, wsiadłem na rower i ruszyłem w las. Po chwili wyjaśniło się, cóż takiego kryło się za drzewami. Woda. Ocean wody. A w środek niego prowadziła oczywiście moja trasa.

Kurwa mać! – wczułem się w budowlane klimaty – No żesz ja pierdołę! Teraz zrozumiałem: panowie nie prowadzili branżowej dyskusji tylko krzyczeli i machali do mnie, że bym tędy nie jechał...

Przyjrzałem się temu nieszczęsnemu leśnemu traktowi. Tutaj konie, przepraszam, rowery szarżą nie pójdą. Woda plus ziemia równa się katastrofa.



Nawet nie wiem jak daleko ten potop sięga. Zawiesiłem się. Ale cóż to? W bok odbijała malusieńka, leśna ścieżynka przy której stał równie mikroskopijny znak z opisem „objazd szlaku skądś tam dokądś”. Patrząc na jego gabaryty i stopień (nie)degradacji ściółki, oceniłem, że ostatnio szły tędy dwie sarenki, gdzieś w początkach XIX wieku. Cóż, nie mam wyjścia. W wieku XXI przyszła pora na jelenia. Na mnie.

## Na Styk(s)

Wokół mokrawo. Grząsko. Wodniście. Ale ścieżka przejezdna. Oczywiście do czasu. Po kilkuset metrach przed nami pojawiła się – och, co za niespodzianka – rzeczka. Z prawej, z lewej, na wprost, z tyłu: woda. Brakowało tylko od góry. Kłątwa Platana, suplement.

Poszedłem wzdłuż przeszkody i po kilkunastu metrach zauważyłem coś w rodzaju przepustu czy też śluzy. Ceglany murek na rzeczce, który od biedy można (choć na styk), pokonać dużym krokiem: gdy nie ma się ze sobą roweru, butów z ślizgającymi się po kamieniu blokami SPD, rozregulowanego błędniaka i życiowego pesymizmu. Niestety, moja kandydatura nie spełniała żadnych wymagań formalnych co do przedostania się na drugi brzeg. Przymierzyłem się na sucho (coż za trafne określenie). Chyba dałbym radę. Buty trochę jeździły po ceglach ale jest to do zrobienia. Tylko co z rowerem? Musiałbym go wziąć na plecy.

- Andrzej, to jebnie – pokręcił kierownicą Roman.
- Jaki znowu Andrzej? – rzuciłem przez ramię.
- Nic. Takie memy z kotami są – odparł, oparty niedbale o drzewo.

Nie ma wyjścia. Musimy spróbować. Może to zresztą Styks i przechodzimy właśnie do krainy umarłych – wtedy nic gorszego nas i tak nie spotka.

Wziąłem Romana na barana

Krok po kroku Step by step

Duży krok

Małe zachwianie

Balans ciałem

Lądowanie

Bez telemarku

I na styk

Jesteśmy po drugiej stronie (do „styk” ciężko znaleźć rym).

## A może by tak...

Na rubieżach Lasu Deszczowego pożegnała mnie kolejna, obstawiona workami, poniemiecka architektura pałacowa. Sądząc po braku zacieków i plam, bitwę z wodą wygrała. Przejechałem wieś, wkrótce asfalt zniknął a ja wbiłem się gruntową drogą na pola. Za tysiąc pięćset sześćdziesiątym łanem kukurydzy, który od wczoraj minąłem, ujrzałem zaś znajomy widok. Po świeżo zaoranym polu, zaledwie kilka metrów od drogi, człapała, ubrana w maskujące barwy, postać z wykrywaczem.

– Wychodzi coś? Ja też czasami kopię.

– Ooo! Widzę, kolega po kiju! Od ilu lat szukasz?

– Noo.. Eee. Niby od 2003 ale odkąd mam dzieci tu już czasu brak.

– Dlatego ja się rozwiodłem, nie pracuję. Sprzedałem sad. I mogę się skupić na poszukiwaniach. Ludzie myślą, że wyjdzie się dwa razy w tygodniu na parę godzin to będą efekty. Nie będą! Skarby trzeba wy-cho-dzić!

Jeszcze długo, aż do Wrocławia, myślałem o tej detektorystycznej mądrości. A może by tak rzucić to wszystko (pracy już nie muszę) i wyjechać na Śląsk? Tylko już taki w miarę suchy...

# Część czwarta

## Wiara

## Wroclove

We Wrocławiu byłem jedyny raz 15 lat temu. Grudniową porą, w tajemnicy przed moją eks, wyjechałem na jeden wieczór, spotkać się z pewną... Hm. Znajomą. Odkryłem wtedy, jak ładne jest to miasto. I nie tylko ono. Przejeżdżając przez nie teraz, wszystko było inaczej. Dzień zamiast nocy. Prawie lato zamiast zimy. Woda zamiast śniegu. Roman zamiast Magdy.

„Obiad” zjadłem siedząc na workach z piaskiem przed gruzińską restauracją. Planowałem ucztę tysiąclecia, skończyło się na zimnym chaczapuri. Przejechałem ulewającą się z brzegów Odrę. Potem jeszcze raz. A potem znów. Pogubiłem się - myślałem, że jest tylko jedna. Doczytałem później, że były to jakieś kanały powodziowe. Wkrótce opuściłem miasto, wkraczając w krainę tysiąca i jednego osiedla z rolki w stylu „zamieszkać pod lasem”, „Royal Estate: „Apartamenty 5 min do centrum” (ale k... czym te pięć minut? Jeśli sondą Voyager 1, to będzie za 5000km – zawsze mnie to podawanie odległości w minutach wyjątkowo drażniło).

Tempo trochę spadło, miałem już w nogach około 90km. Na horyzoncie, za plecami, niespostrzeżenie rozwinął się rozległy front chmurowy. Niepokojąco przypominający ten, który przywitał mnie na początku ekspedycji.

– Na szczęście dzisiejszą Kłątwę Platana mam już za sobą. Teraz trzeba po prostu dojechać do celu – rzuciłem prowokacyjnie.

Platan milczał.

## Stępin

Zatrzymałem się w centrum małej wioski. Wyjątkowo zapamiętałem nazwę: Stępin. Skrzyżowanie kilku dróg, kościół, ruiny młyna, przystanek PKS i żywego ducha w zasięgu wzroku. Sprawdziłem pogodę: pod wieczór ma zacząć wiać i padać. A wiec zło z gór zaczęło mnie gonić. Trzeba uciekać. Ruszyliśmy na wschód. Teren znów zaczął falować, co i rusz Roman z popiskiwaniami (efekty kąpieli w Strzegomce), musiał wspinać się ze mną na podjazdach. Szarosina masa chmur systematycznie się do nas zbliżała aż w końcu zaczęła połykać promienie chylącego się pomątu ku zachodowi słońca. Wjechaliśmy w rozległe lasy Parku Doliny Baryczy, które według mapy, miały towarzyszyć nam do końca dzisiejszej podróży.

W lesie wiatr ustał, zrobiło się ciemniej a droga postanowiła się zepsuć. Nadał był to asfalt. Ilość dziur na metr kwadratowy rosła jednak w tempie geometrycznym. Jeszcze trochę a zostaną tylko one.

Zatrzymałem się na chwilę przy rozstaju dróg.

– Zrób zdjęcie – odezwał się nagle Platan.

Zamarłem.

– No zrób. Telefonem.

Oślupiały, bez słowa, odsunąłem suwak od torby. Telefonu nie było.

## Koniec świata

Końce świata bywają przeróżne. Mogłyby coś o tym powiedzieć dinozaury, mój starszy syn, gdy zaginął mu kluczowy (z tysięcy) klocek Lego, Legia Warszawa w 87 minucie meczu z Widzewem w 1997 roku. Dołączyłem do tego grona i ja, gubiąc telefon 300km od domu i mając przed sobą ponad dwa dni samotnej podróży nieznanymi drogami. Stałem jak sparaliżowany. Potem zacząłem, niczym obłąkaniec, trzeci, czwarty, piąty, dziesiąty, setny raz otwierać torbę by, zaprzeczając rzeczywistości, łudzić się, że on tam jest. Niestety, im więcej razy to robiłem, tym bardziej go tam nie było.

Ujrzałem go. Leżącego na przystanku w Stępinie. Tak, sprawdzałem wtedy pogodę, potem odłożyłem go na ławkę, wyciągnąłem batonik, zjadłem, wypięłem. Zrobiłem zdjęcie aparatem. I pojechałem. Godziny temu. Dwie,



trzy. Nie wiem. Nie ma szans zawrócić. Nie mam siły, idzie ten pieprzony wał szkwałowy. Pod wiatr bym umarł a zanim bym tam dojechał (o ile), byłaby ciemna noc. A szansa, że on tam nadal leży, też jest iluzoryczna.

Zostałem bez numerów telefonu do właścicieli kolejnych kwater. Bez map. No i oczywiście – bez kontaktu z bliskimi, bez karty sim, bez zdjęć, bez wszystkiego. Nie, nie wierzę. To mi się tylko śni, przysnąłem na tym przystanku, zaraz wstanę, schowam go i pojedę dalej. Fuck!

– Ty pierdolony chuju, ty zgniły skurwynie – sapnąłem – przegiąłeś.

– Ale brzydkie wyrazy! Odpłacę ci tym samym następnym razem – huknął mi w głowie.

– Spierdalaj plamiasty pomociu, idź stąd, milcz jak do mnie mówisz...

Roman stał nieruchomo na stopce. Miałem wrażenie, że trzęsie się ze strachu. Drzewa beznamiętnie przyglądały się nam, wiatr hulał im wysoko w koronach. Gdzieś zaszczekał pies. Nastąpiła cisza.

Wsiadłem na rower i ruszyłem powoli dalej. Jedyne plan, jaki w tej beznadziei udało mi się wdrożyć, to dojechać do Chojnika, gdzie mam zaklepany nocleg. Tam prosić właściciela, by spróbował się do mnie dodzwonić a może nawet ubłagać, by podwiózł mnie autem do feralnego miejsca. Na miejscu zaś próbować rozpaczliwych poszukiwań. Szansa, że się na taką wycieczkę zgodzi jest prawie zerowa. Szansa, że telefon się znajdzie – również. Razem dawało to jakieś 0,0001% prawdopodobieństwa happy endu.

## Msza

Do celu dotarłem o zmierzchu – pierwszy raz podczas wyprawy włączyłem przednią lampkę. Kwatery na szczęście łatwo znalazłem – przed wyjazdem zlustrowałem miejsce na google street. Wieś była mała, oczywiście wymarła, ale nie miała tego typowego, ponemieckiego klimatu. Znajdowała się już na terenie województwa wielkopolskiego, tuż za historyczną granicę ze Śląskiem. Zaczęła nadgryzać ją polskość.

Teren ośrodka był osobliwy. Z wyglądu przypominał park zdrojowy albo jakiś kampus. Wśród starannie przyciętych trawników, kwiatowych rabatek i owocowych krzewów, wiły się chodnikowe alejki, przy których stało kilka ławek. Wszystko tonęło teraz w półmroku. I ciszy. Nie było tu żywej duszy. Granice tego rezerwatu tyczyły trzy oddalone od siebie budynki – na wprost hostel, z lewej jednorodzinny dom. A po prawej kościół.

Byłem na terenie parafii. A domek obok to zapewne plebania. Gdy sprawdzałem miejsce przed wyjazdem, miałem takie podejrzenia. Teraz się tylko upewniłem.

Hostel zamknięty na głucho. Obszedłem go wokół. Wszystkie drzwi zaryglowane. Świetnie. W oknach ciemno. Na parapecie znalazłem kartkę z numerem telefonu kontaktowego. Haha. Wystygłem i zaczęło mi się robić zimno. Co teraz? Wyjechałem przed park. Przy jednym z domów pracował w ogródku jakiś facet. Przekrzykując się przez jazgotającego u jego nóg psa, próbowałem wyklarować moje położenie, prosząc o użyczenie telefonu celem kontaktu z numerem na karteczce. Odparł mi, że miejscem zawiaduje proboszcz i najlepiej wbić się na plebanię.

Poszedłem więc do pustego, ciemnego domu. Zapukałem, syn marnotrawny, w bramy niemal niebieskie. Nikt nie otworzył. Cisza.

– Trzeba było chodzić do kościółka i się nie ateizować – zarechotał Platan – może by otworzył.

Zbyłem go (nienawistnym) milczeniem. Wróciłem pod kwatery. To naprawdę przestawało być śmieszne. Najpierw telefon, teraz to. Będę tu spać na ławce pod kasztanowcem? Ubrałem się w dodatkową bluzę. Zaczynało coraz mocniej wiać. Zbliżał się deszcz i zapadł zmrok.

Jakaś para podjechała samochodem pod bramę. Podszedłem do nich z tym samym pytaniem co do faceta w ogródku. Odpowiedź jak z szablonu: trzeba na plebanię, to proboszcza. Nowością było uzyskanie informacji, że zaraz zaczyna mszę. Pobiegłem raz jeszcze zapukać. Nadal zero odzewu. 18:55. Pewnie o siódmej ma te modły więc zainstalował się już w kościele. Nic. Poczekam. W międzyczasie podjechało jeszcze kilka aut, z których wykluwały się kolejne postacie idące na mszę.

Kręcąc się między klombami, wsłuchiwałem się w otobarankiboże i ojczenasze, zmiksowane z nasilającym się wiatrem oraz burczeniem mojego brzucha. Boże, co za klimat. Absurd. I koszmar. Ponownie spróbowałem się obudzić na przystanku w Stępinie. Kolejny raz się nie udało. Oczekując na koniec mszy, udałem się do innego domostwa, prosząc o użyczenie telefonu. Tym razem się udało, zadzwoniłem na swój numer. Cisza. Wróciłem smętnie pod bramy świątyni. Może powinienem tam wejść? Paść na kolana i błagać los (łamane na Boga), o zwrócenie telefonu? Gdybym jeszcze miał pewność, że to zadziała. Ale jestem małej wiary. Jestem profesjonalnym Niewiernym Tomaszem. Mimo to pójdę. Tak. Jeśli odzyskam mój telefon, Bóg i Platan mi świadkiem – jutro rano udam się na mszę i dam na tacę w podzięce niebiosom. Obiecuję.

Czujnik zmroku zapalił latarnie. Msza o dziwo, szła sprawnie, usłyszałem zbawienne „oto ofiara spełniona”. Zabrzmiało jak o mnie. Z kościoła wypełzła garstka wiernych.

A na końcu wyszedł ON. Cały na czarno.

## Ksiądz

Jeśli istnieje gdzieś archetyp polskiego księdza z małej parafii, to, w blasku ledowych latarni, właśnie objawił się przede mną. Niski, delikatnie przysadzisty, z łysiejącym czołem i w prostokątnych okularach. Ubiór firmowy i splecione dłonie dopełniały całości. Bałem się, że gdy się odezwie,



zaintonuje to na modłę (nomen omen) jakiegoś psalmu. Na szczęście całkiem sprawie porozumiewał się po cywilu.

– Hmm... Teoretycznie mógłbym z panem podjechać ale mam dziś wieczorem zebranie ministrantów, nie wiem kiedy skończę. Gdyby coś się wyklarowało, podejść do pana – odparł gdy wypowiadałem mu się ze swojego tragicznego położenia. No tak. To było do przewidzenia. Na co ja w ogóle liczyłem?

Rozpakowałem się, Romana zostawiłem samego w pokoju i udałem się pustym, długim korytarzem w poszukiwaniu pryszniców. Spłukałem z siebie brud, kurz, błoto, pot, znój, ból ramion i smar od łańcucha na łydce, ale poczucia beznadziei zmyć w stanie nie byłem. Wróciłem do mojego apartamentu, udekorowanego krzyżem nad drzwiami. Przy schodach stał sługa Boży. W cywilu.

– Jest pan gotowy? Jedziemy.

## Go hybrid

Wnętrze auta przywitało mnie orgią światełek z lampek kontrolnych i wyświetlaczy oraz RMFem FMem. Nic nie pasowało. Wyobrażałem sobie, że samochód księdza będzie ascetyczny jak Fiat 125p a z głośników popłyną chwalebne tony Radia Maryja. Podróże jednak kształcą.

Ruszyliśmy gdy zaczęło lać. Ksiądz nie należał do niszowej w tym kraju kategorii kierowców wyznających ecodriving. Cisnął mocno, rozpruwając ciemności drogi krajowej numer 25. Odruchowo zacząłem szukać nogą pedału hamulca.

– Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem – odezwał się nagle mój prywatny szatan – szacun. Takich księży nam trzeba! Ciekawe, czy ma z tyłu naklejkę Lubię zap...

– Cicho siedź. On to robi w stanie wyższej konieczności. W dobrej wierze!  
– przerwałem mu w myślach – poza tym, nie boisz się ujawniać w takich okolicznościach? Jesteśmy w jakimś sensie w przestrzeni katolickiej.

– Jaka tam katolicka. To hybryda.

## Cud

Proboszcz nie korzystał z nawigacji. Zadzwoił do kumpla, który przez pół drogi kierował go do celu. To był jakiś znajomy lokals, obeznany w miejscowej

topografii. Jechaliśmy rozgarniając wycieraczkami strugi deszczu, wsłuchując się na przemian w muzykę pop, reklamy i kolegę nawigatora. Po kilkudziesięciu minutach wjechaliśmy na obwodnicę Oleśnicy. To już niedaleko. Za kilka kilometrów zjazd.

Nie poznałem wsi. Przyjechaliśmy z innej strony, w nocy i deszczu. Latarnie nie świeciły, było ciemno jak w kazamatach. Wkrótce światła samochodu wydobyły z ciemności feralny przystanek. Serce zaczęło mi mocniej bić. Oto chwila prawdy.

Na przystanku koczowała lokalna gimbaza. A więc jednak w tej wsi istnieje jakieś życie.

– Chłopaki, nie znaleźliście może tutaj telefonu?

Zerwali się na równe nogi, zaczęli oglądać ławkę, poszli nawet na tyły wiaty by szukać go w trawie. Podszedłem zrezygowany do ławki. Oczywiście nie ujawnił się nagle, świecąc złotym blaskiem i w akompaniamencie anielskich chórów. Zachciało mi się płakać. Stałem zrezygowany i mokłem w strugach deszczu.

– Mogę jeszcze raz zadzwonić? – spytałem zrezygowany proboszcza. Wręczył mi swojego ajfona. Sygnał, drugi, trzeci...

– Halo?

## Gabriela

Nad pogrążoną w ciemnościach małą wsią w śląskiem rozwarły się nagle niebiosy, zalewając okolicę boską światłością. Pośrodku niej ukazała się majestatyczna postać, dzierżąca w prawicy wysoko uniesiony miecz. W lewej ręce, zwróconej ku ziemskiemu padolowi, spoczywał aparat telefoniczny Redmi 7 (android w wersji 10). Wokół, tuzin cherubinów, grał na trąbach pochwalną pieśń. Archanioł zstąpił na ziemię, lądując w kałuży przy wiacie i przemówił krystalicznym, donośnym niczym dzwon katedry, głosem: - Oto telefon twój, zagubion pod przystankiem, w ziemi pod ławką pogrzebion, odnalezion, przechowan i zwrócon.

Ocknąłem się. Przede mną stała dziewczyna, trzymając mojego sponiewieranego smartfona. W aucie czekał na nią chłopak. Za nami, nieco z tyłu, warowało na włączonym silniku drugie auto, blokując nam ewentualną drogę do ucieczki. Scena jak z gangsterskiego filmu. Gdy wyjaśniło się, że znalazła go na przystanku wysiadając z autobusu i mieszka tutaj, w Stępinie, poprosiłem by podrzuciła mi go na przystanek. Przezorna, zabrała ze sobą

obstawę, na wypadek bliżej nieokreślonej prowokacji albo próby porwania ciemną nocą. Podziękowałem, wciskając jej znaleźne (pożyczyłem od księdza). Swoją drogą, to porównanie do anioła nie było takie na wyrost. Gdybym był 20 lat młodszy, a ona nie miała chłopaka w volvo, i gdybym nie miał rodziny, i mieszkał na Śląsku, i lubił blondynki, i miał samochód o pojemności powyżej 2000 cm<sup>3</sup>...

Dopiero wracając poczułem gigantyczny głód. Ostatnio zjadłem coś przyzwoitego rano, 12 godzin temu. Miałem ochotę gryźć tapicerkę i i żuć pasy bezpieczeństwa. Szybciej, Ojczy! Szatan chichotał z radości. Teraz pojąłem znaczenie przysłowia „jak się człowiek spieszy to się diabeł cieszy”. Pędziliśmy do parafii na złamanie karku. W pokoju na szczęście czekała na mnie wałówka nabyta zawnazą w Polo Markecie.

Ksiądz nie chciał wziąć za paliwo. Postawiłem go przed faktem dokonanym, informując, że jeśli nie weźmie, to jutro rano pójdę na mszę i dam ekwiwalent na tacę.

Nie mamy rano mszy. To mała parafia - jest tylko jedna msza, wieczorna - odparł.

Uff. Poczułem się rozgrzeszony.

## Redrum

Przed pójściem spać, postanowiłem zwiedzić mój hostel (w którym byłem jedynym lokatorem). Na parterze ciemność absolutna. Światło trzeba zapalić po bożemu, pstryczkiem. Ale jak go w tej czerni odnaleźć? Od okna, blade światło latarni wydobyło tylko zarys jakiegoś większego stołu na środku sali. Wróciłem po schodach na górę. „Mój” korytarz był tak długi i wąski, że można by na nim uczyć perspektywy. Po lewo i prawo zamknięte na głucho drzwi. Na samym końcu malutki, dziecięcy stoliczek z dwoma krzeselkami. Trochę creepy. Z czymś mi się kojarzy... Pusty hotel na końcu świata, na zewnątrz hula wiatr i pada śnieg a w środku samotny pisarz. Nagle przyszło olśnienie! Nie. Lśnienie. Kinga. Co prawda to nie hotel tylko hostel, koniec świata też taki w wersji polskiej, na zewnątrz pada deszcz a nie śnieg a pisarzem jestem dość mizernym. Ale czego się nie robi, by naciągnąć scenariusz! Stoliczek zapewne należy do lokalnych, upiornych bliźniaczków. Na wszelki wypadek zajrzałem raz jeszcze do łazienki. Szczęśliwie, na lustrze nie było napisu REDRUM. Może dlatego, że niezaparowane?

Zgasilem lampkę i padłem na wyro. Po przysłowiowych pięciu minutach samoczynnie wyłączyło się światło na korytarzu (do tej pory rozjaśniało

mój pokój przez pokaźne podcięcie w drzwiach). Zacząłem zasypiać w akompaniamencie wycia za oknem. Już przechodzę na drugą stronę, już prawie jestem, ależ przyjemnie...

PSTRYK!

Do pokoju, niczym z okrętowego szperacza, wtargnął błysk z korytarza. Coś (lub KTOŚ), uruchomił czujnik ruchu... Wycofałem jedną nogę ze snu i zamarłem. Czekam. Słucham. Czy to jakieś szuranie na korytarzu, czy tylko wiatr za oknem? Minęło kilka minut i światło zgasło. Przypadek. Spać. Zacząłem ponownie odpływać...

PSTRYK! No nie! Ja jestem wykończony, przejechałem dziś 148 km, zaliczyłem powódź, zgubę telefonu i prawie nawróciłem się na wiarę katolicką. Ja nie mam siły się teraz po nocach bać! Jeśli to te bliźniaczki - proszę bardzo, niech sobie szurają. Jeśli to ta nadgniła kobieta z wanny to niech tylko nie zachłapie mi podłogi. Byle tylko Nicholson nie napierdalał siekierą w drzwi bo potem będzie na mnie.

I zasnąłem.



Część piąta

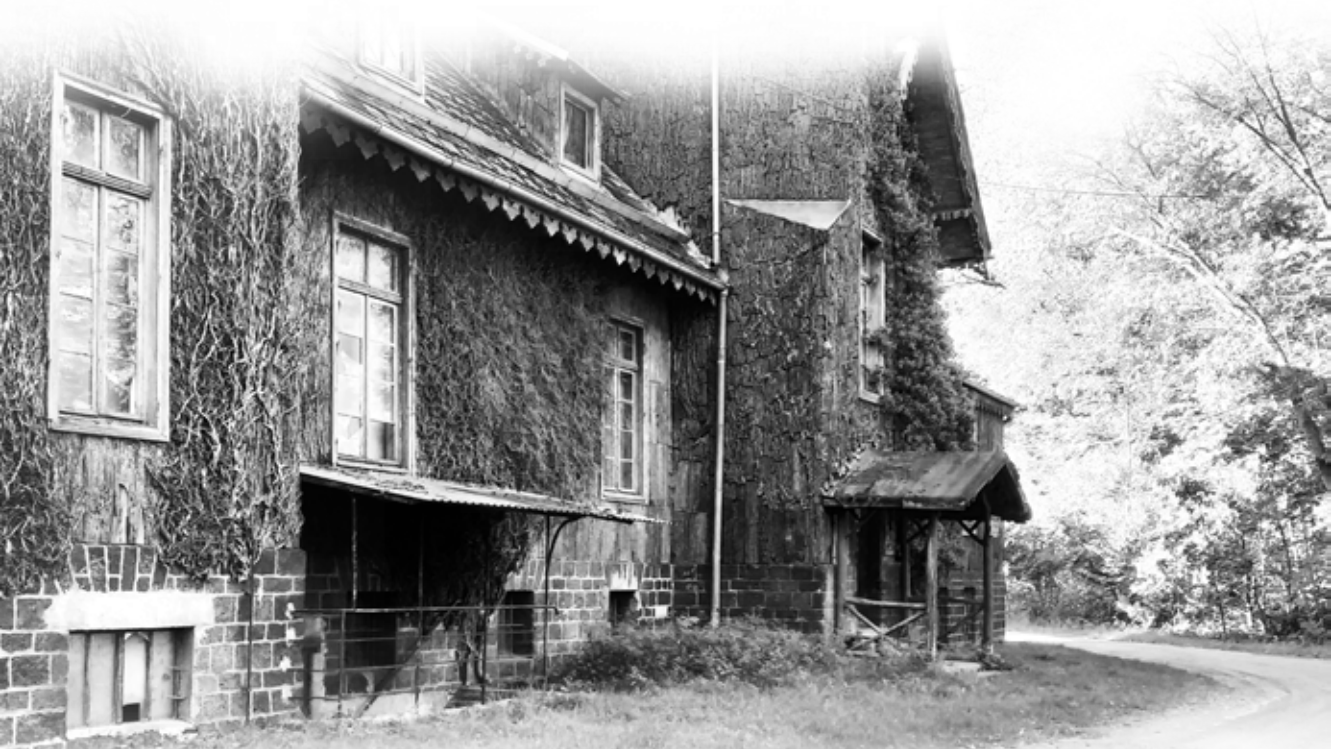
Polska

## Enty

Poranek przywitał mnie kolejny raz bezchmurnym niebem. Drzwi były całe, podłoga na korytarzu sucha, a dziecięcy kącik zabaw bez śladów użytkowania. Przed wyruszeniem w dalszą drogę nasmarowałem łańcuch Romanowi i poszedłem pożegnać się z moim wybawcą. Uzgodniłem, że moje „co łaska” za wczorajszą pomoc, ureguluję online na stronie parafii. Około dziewiątej dopiąłem ostatnie paski przy torbach, sprawdziłem, czy mam telefon (!) i ruszyliśmy.

Zmieniłem nieco trasę. Zamiast pojechać na północny wschód, udałem się na zachód. Około 15km od Chojnika, wypatrzyłem w necie ciekawostkę. Drewniany dwór. Dwór to zresztą delikatne określenie, wyglądało to jak zamek. Z mchu, paproci, bluszczu, drewna i gałęzi. Królestwo Entów, oddział Polska. Klimat niebezpiecznie platanowy. Nie ma co tu za długo gościć, jeszcze coś odezwie się do mnie z pretensjami, że przyjechałem nie z tej strony albo nie takim rowerem. Sprawdziłem, czy mam telefon. Ruszyłem dalej. Minęła godzina i... wyjechałem znów pod plebanią. Na szczęście to był plan a nie kolejna wtopa na wycieczce. Teraz restart podróży i ponownie i ruszamy do celu. Sprawdziłem, czy mam telefon.

Polskość Wielkopolski nie była już tak ekscytująca. Wsie nijakie, mikstura kostek z PRLu i dworków z katalogu domów gotowych. Opuszczone pałace



zastąpiły Polo Markety i inne Odido. Wyfłaszczyło się. Pierwszą większą miejscowością, jaką napotkałem po trasie, był Ostrów Wielkopolski. Środkiem miasta ciągnęła się arteria szerokości Amazonki. Jej nurtem płynęło tysiące samochodów, drugie tyle zacumowało na poboczu. Gdzieś na samym końcu kulił się rachityczny chodniczek, wciśnięty w zabudowę. Puławska w Warszawie mogłaby poczuć się zazdrosna.

Dojechałem do starej części miasta. Sprawdziłem, czy mam telefon. Wszędzie samochody. Na rynku też. Flagowy zabytek miasta, konkatedra, uwaga - pełna nazwa: Świątego Stanisława Biskupa i Męczennika”, obsrana autami. Można było odnieść wrażenie, że z braku miejsca powoli zaczynają wspinać się na jej mury. „Korzystając z parkingu, wspierasz potrzebujących” - głosił napis na tabliczce przed wjazdem. Ach, to wszystko wyjaśnia. Tacy dobrzy ludzie. Nie zatrzymałem się nawet na pożarcie batonika. Miałem dość. Odjechałem byle jak najdalej stąd. Sprawdziłem, czy mam telefon.

## Ryszard

Co zrobić, Kalisz kojarzy mi się od zawsze z Ryszardem. Tym razem udało mi się wreszcie odwiedzić tego oryginalnego, pierwszego, właściwego. I tu wielkie zaskoczenie. To miasto było zupełnie inne choć niby podobne do tego opisanego wcześniej. Ktoś zapanował nad reklamozą i samochodozą w zabytkowym centrum. Można? Można. Zatrzymałem się na rynku. Postanowiłem podarować sobie wreszcie odrobinę luksusu. Pizza. Słońce przyjemnie przygrzewało, usiadłem więc w restauracyjnym ogródku. Ledwo to uczyniłem, nad Kalisz nadciągnęła monstrialna chmura i zaczęło mocniej wiać. W miarę upływu czasu i ubywania pizzy, zakładałem na siebie kolejne warstwy ubrań. Skończyłem, dygocząc w kurtce przeciwdeszczowej bo tylko ona mi została w zapasie. Chmura tkwiła tak nad rynkiem dokładnie tyle czasu, ile siedziałem przy stoliku. Gdy zapłaciłem i dopiłem reszkę bezalko, od razu wyszło słońce, ucichł wiatr i zrobiło się z powrotem ciepłutko. Dzień Świra. Bardzo śmieszne, mruknąłem. Musiałem się znowu rozodziać. Szybkie uzupełnienie wody w Żabce i ruszyłem dalej. Sprawdziłem, czy mam telefon.

## Oscylator

Trasa była nudna. Mijałem kolejne wsie, w których na siłę wyszukiwałem choć cienia osobliwości. Od wielkiej biedy wypatrzyłem raz ruiny jakiejś szkoły, drugim razem zatrzymałem się przy pozostałościach wiatraka.

Interesujących, bo od spodu ustawionych na budynku z pustaków. Jak go tam osadzili i po co - tego już nie odgadnę. Ale pamiętajmy - jechałem już po rdzennie polskiej ziemi. Tu nie ma rzeczy niemożliwych. Gdy po raz trzeci zatrzymałem się przy ruinach - tym razem pożeranego przez roślinność gospodarstwa, dogonił mnie pierwszy od początku wyprawy rowerzysta (wyprzedziłem go wieś wcześniej).

Cykliści, jak wiadomo, dzielą się na wiele frakcji. Ten zdecydowanie nie należał do warszawskiego podzbioru lycrowych kolarzy z brzuszkiem i rowerem za 20k. Jego sprzęt pamiętał pewnie rozbiory, ubiór zresztą też. Tempo utrzymywał asynchronicznie dostojne, oscylując między skrajami jezdni. Obdarzył mnie miną pełną zdziwienia, melancholii i upojenia, znikając za zakrętem.

Zwiedziłem nawiedzony przez faunę i florę dom. Zawsze, gdy wchodzę do takich miejsc, z nie do końca wyjaśnionych przyczyn, rozglądam się za bakelitowymi włącznikami. Mam na ich punkcie dość enigmatyczną korbę. Może dlatego, że prawie nigdzie ich nie mogę znaleźć? Tutaj także powitały mnie tylko stare tynki z resztkami tapet i dziury po wyrwanych kontaktach.

Po kilku minutach jazdy zauważyłem przed sobą pana oscylatora. Wyprzedzając go, uraczony zostałem ponownie tym niepowtarzalnym,



nietrzeźwym, choć słodkim spojrzeniem. Wkrótce dogonił mnie po raz kolejny, gdy zatrzymałem się na siku. To było nasze przedostatnie spotkanie, nim minąłem go po raz ostatni. Nasza przeplatanka uświadomiła mi, jak wiele czasu tracę na postoje. Pan pod wpływem ledwo się toczył a przez ostatnie kilka kilometrów utrzymywał moje tempo. Gdybym nie robił zdjęć, nie zwiedzał ruin i tyle nie pił... A wydawać się mogło, że ten ostatni przypadek powinien być jego problemem.

Słońce bardzo powoli przemieszczało się w rejony późnego popołudnia a ja jechałem dalej bez żadnych przygód. Im dłużej to trwało, tym częściej zacząłem z niepokojem rozmyślać, jaką klątwę rzuci na mnie kolega Platan. Przecież nie odpuści. Jeszcze przed wyjazdem, nie wiedząc w co się pakuję, najbardziej obawiałem się złapania gumy. Nie jest to dla mnie nowość, przebijałem dętkę tysiące razy, ale nigdy u Romana. A u niego, jak wyczytałem, ściągnie ogumienia to koszmar z ulicy Wiązów. Ludzie nagminnie łamali łyżki do opon - wszystko przez specyficzne obręcze w tym modelu. Czekałem więc na to. Ale Roman dzielnie jechał dalej.

## Morze Łódzkie

Do celu zostało nieco ponad dwadzieścia kilometrów. Słońce było już nisko, rozpoczęła się złota godzina w fotografii. Teraz, aż do zachodu, krajobraz rozświetlał się piękną, żółtą poświatą. Nasze cienie zrobiły się długie, jakby zasysała je czarna dziura. Coraz częściej spoglądałem pod koła, wyszukując iskrzących się szkiełek, czyhających na romanowe opony.

Skręciłem w drogę wojewódzką. Przedemną długi zjazd. Szatan zaklaskał w kudłate łapy i ruszyliśmy. Po jakimś kilometrze skończył się las, na pełnym gazie wypadliśmy na skrzyżowanie dróg za jego skrajem i ujrzeliśmy morze. Na prawo od szosy woda po horyzont. Widziałem na mapach, że dojadę do jakiegoś Zalewu ale że od razu do Szczecińskiego?

Zatrzymałem się na zaporze. Przy barierkach, nieco poniżej poziomu szosy, były nawet ławeczki. Grzech nie usiąść. Cisza, gładka tafla wody mieszająca się z niebem gdzieś hen daleko. Przedostatnie promienie słońca. Ach, gdyby nie moja nerwica, posiedziałbym tu teraz z godzinkę. Ale nie. Nie można. Trzeba jechać! Tym bardziej, że cieplej wcale nie będzie.

Gdy zjechałem na drugą stronę do podnóża zapory, poczułem, jakbym zmienił strony świata. Z ciepła, ciszy, słońca i oceanu wpadłem w wiatr, cień i chłód bijący od lasu oraz wyrrywającej się z betonowych trzewi Warty. Ruszyłem ścieżką po wale przeciwpowodziowym. Słońce dawało tyle ciepła,

co na Marsie. Założyłem pod kurtkę Polar Ostatecznego Ratunku. Minąłem po drodze peleton krów, lawirując między nimi jak warszawski taksówkarz po Żwirki i Wigury. Jechałem wzdłuż rzeki dość długo. Gdy dotarłem do asfaltowej drogi, usłyszałem jak słońce mówi „nara” i ostatecznie chowając się za horyzont gdzieś w okolicach Berlina.

Dziesięć kilometrów, może ciut więcej. Jeśli złapię tutaj gumę, to od biedy doczłapię do tego Uniejowa. Gorzej, że zrobiło się tak kurwesko zimno, że nie dałbym rady ściągnąć i tak nieściąganej opony. Ale może się uda? Może moc Platana działa tylko na Śląsku? - pocieszałem się jak mogłem, mimowolnie coraz szybciej pedałując. Włączyłem lampki.

## Królowa Śniegu

Gdzieś na horyzoncie zamajaczyła wieża kościelna. To prawie już! Uda się. Paręnaście minut później przejechałem most na Warcie. Z lewej strony chował się w krzakach zamek, totalnie zaćmiony blaskiem (dosłownie i w przenośni) tutejszych, słynnych term. Za pierwszym rondem obwieścił neonami swoją obecność supermarket. Znakomicie, nie będę musiał potem ruszać na polowanie kolacji. W sklepie trochę mi się zeszło - zgodnie z odwiecznymi prawidłami natury ustawiłem się bowiem nie do tej kolejki co trzeba. W czasie, gdy pani przy kasie rozwiązywała jakieś problemy pierwszego świata, kolejka obok sunęła niczym Lux-torpeda do Zakopanego. Spędziłem w tym Polo Markecie około dwadzieścia minut. Mniej więcej o dziewiętnaście za długo.

Wyszedłem rozgrzany przed sklep i poczułem tak ekstremalne zimno, że mimowolnie rozejrzałem się, czy gdzieś (na kopercie dla niepełnosprawnych na przykład), nie zaparkowała saniami Królowa Śniegu. No nic, na szczęście do kwater mam raptem kilkaset metrów. Jak się jednak okazało, najtrudniejsze z dzisiejszych 142 kilometrów. Ledwo ruszyłem, dopadły mnie dreszcze. Takie profesjonalne. Na tyle, że zacząłem się trząść razem z rowerem. Ręce latały mi jakbym zjeżdżał po kamieniach doliną Chochołowską. Miałem wrażenie, że zaraz zaliczę uroczyste powitanie z chodnikiem. Resztką sił ciała i umysłu, wyszarpałem z torby kurtkę przeciwdeszczową - ostatnią rzecz, jaką mogłem na siebie założyć. Trochę pomogło, ruszyłem powoli rozświetlonymi ulicami i po kilku zakrętach zatrzymałem się, ciągle dygocząc, przed Pensjonatem pod Miłorzębem. Jak się później okazało, nic w tej nazwie nie było prawdą. Co najwyżej „pod”.

## Schody

Otworzyłem furtkę. Stałem przed spowitym w mroku domem, dziwną mutacją klasycznej kostki z lat osiemdziesiątych w przerośnięty, trzypiętrowy bunkier. Przez otwarte drzwi wejściowe prowadziły anormalnie długie schody, ginąc gdzieś na piętrze. Na podwórku stały w ciemnościach rozbebeszone auta i wały się części samochodowe. Urokliwe miejsce. Nie ma dzwonka, nie ma drzwi. Tylko te schody. Wyciągnąłem telefon (był!). Dzwonię. Nikt nie odbiera. Znowu to samo? Tym razem nie wytrzymam całej mszy, zamarznię za jakieś dwie minuty. Przypomniała mi się historia o polarniku, który zdobył biegun ale zamarzył w drodze powrotnej ledwie dwadzieścia kilometrów od bazy.

Za drugim razem w końcu się dodzwoniłem. Wszedłem do środka, schody prowadziły jeszcze wyżej, ginąc gdzieś w mroku a z prawej strony ujrzałem niewidoczne z podwórka drzwi. Objawiła się w nich korpulentna babciunia, zapraszając mnie do środka. Byłem tak zmarznięty, że pomimo ciepła, nadal stałem w polarze i dwóch kurtkach. Weszliśmy do „biura”. Przynajmniej tak to nazwała.

## Dom Zły

Czasami we snach wiemy, że znajdujemy się na przykład w swojej szkole, choć kompletnie jej nie przypomina. Poczułem się tak samo - niby znajduję się w domu, ale nic się nie zgadzało. Najpierw te dziwne schody, potem boczne wejście, niczym w średniowiecznej wieży, do przedpokoju. Przedpokój wyglądał jak pomieszczenie gospodarcze. Wnętrza przypominały raczej zamek albo więzienie a nie dom mieszkalny. Zewsząd dochodził mnie specyficzny zapach, będący osobliwą mieszanką woni szafy z molami, kurzu, nadpsutego jedzenia, dawno nie pranych ubrań i obierek po kartoflach. Słabe, żółte światło żarówki z żyrandola, dopełniało klimatu. Babciowizna. Lata siedemdziesiąte. Późny Gomułka. Ciasnota, wszędzie jakieś stare komody, bibeloty, szczotki, zmiotki, wiadra.

Babcia otworzyła notes z rezerwacjami i oczywiście okazało się, że nie zmieniła terminu mojej rezerwacji, gdy przed wyprawą odwracałem kolejność noclegów. Powtarzałem jej to wtedy przez telefon chyba ze trzy razy, ona jednak bardziej skupiała się na opowieści o swoich wizytach do lekarza. Marzyłem o gorącym prysznicu. Szybciej, babciu, muszę przywrócić

sobie właściwie krążenie. Tymczasem, zamiast prysznic, zrobiło się zamieszanie. Nie było dla mnie wolnego pokoju...

## Biuro

Do „biura” wkroczył typ. Może syn, może wnuk, ciężko stwierdzić. Zdecydowanie łatwiej było określić jego status trzeźwości. Był negatywny. Do bukietu wspomnianych wcześniej moli, kurzu i łoju, dołączyła nuta wyborowa.

- Ja przygotuję panu pokój - oznajmił.
- Ale nie ma już wolnych, u Halinki panu pościel.
- Na górze zrobię.
- Ale tam nie ma już, tutaj panu damy, u Halinki.
- Zrobię na górze!

Typ oddalił się, pojawiła się następna postać, jak się wkrótce okaże, dramatu. Jakaś kobieta. Może wspomniana Halinka. Babcia zarządziła:  
- Pościel panu tu obok siebie a pan chwilę poczeka, pan pójdzie ze mną do kuchni, zaraz panu przygotujemy, zachodzi pan.

Udałem się więc do kuchni, przeciskając się przez labirynt kolejnych pomieszczeń bez okien, zawalone starymi etażerkami i szafkami. Kto projektował ten budynek? Albert Speer? Czy za kolejnym załomem przywita mnie strzelnica na ckm?

W kuchni cofnąłem się o kolejne dziesięciolecia. Tak musiały wyglądać jadalnie w latach pięćdziesiątych. Na środku stary, odrapany stół. Wzdłuż ścian mocno leciwe, obłe meble kuchenne z finezyjnymi gałkami. W kącie kafelkowana kuchnia. Brakowało tylko portretu Stalina. Na stole leżało wielkie pęto dziwnej, ciemnej kiełbasy i gigantyczny nóż.

- Pan spocznie, muszę zrobić Reksiovi jedzonko - sapnęła babulejka, zabierając się za krojenie tego podejrzanego kloca.

- Reksio lubi, ale niegrzeczny! Już dwa razy mnie ugryzł - kontynuowała szatkując mięso.

Woń krwawego dania wywabiła w końcu psa spod komody. Ustawił się karnie obok swojej pani a gdy postawiła mu na podłodze miskę, rzucił się na nią jak opętany. Babcia wytarła tłuste dłonie o pomięty fartuszek.  
- Może jednak herbatki?

## W labiryncie

Wróciła Helenka: pokój gotowy. Pierwsza sień, druga, „biuro” (które też było pomieszczeniem wewnętrznym, bez okien), kolejny korytarzyk, dwie pary drzwi naprzeciw siebie. Z tego, co się zorientowałem, jedno do „pokoju Helenki”. Drugie do mojego „apartamentu”. Na wprost drzwi balkonowe. Babulejka wyjaśniła, że to zapasowe wyjście – przez taras. Rzeczywiście, na zewnątrz był szeroki balon (oczywiście zagracony), wyjścia z niego pilnował Reksio, moszcząc się w poprzek przejścia w czymś pomiędzy budą a leżanką. Gdy zrobiłem krok w jego stronę, pokazał zęby i zaczął warczeć. Okej. Czyli jednak nie tędy droga – rano będę musiał wychodzić przez labirynt.

Jakimś cudem przepchnąłem się do pokoju z Romanem. Bałem się zostawić go gdzieś indziej – jeszcze pokroili by go na pożarcie psu albo typ z procentami zechciałby użyzyć go celem wycieczki do sklepu. W pokoju nie było niczego. Łóżko, stara komoda, niedziałający telewizor i krzesło. Drzwi balkonowe były zabite w poprzek deską. Ciekawe. Okna nieszczelne, w pokoju, dyplomatycznie ujmując, nie było ciepło. Cudownie. No nic. Rozgrzeję się pod prysznicem.

Zacząłem się rozpakowywać, z braku miejsca wszystko wywalałem na łóżko. Wchodziłem już do łazienki, gdy nagle, gdzieś tam w trzewiach domu, usłyszałem donośny huk.

Zaległa na chwilę cisza, a później rozpętała się trzecia wojna światowa.

## Rodzina słowem silna

- Ty chuju!! Kurwa!!!
- Spierdalaj kurwo!
- Kurwa, chuju, nie będziesz mnie bił, wypierdalaj z tego domu!!
- WOON!!! Wooooon! Bo po policję zadzwonię!
- Kurwo jebana!
- Zostaw to!! Ty chuju!! Nie będziesz bił moich dzieci!!
- Wyjdź stąd! Idź! Won! Nie przychodź tu!
- Kurwa (odgłosy szarpaniny), Helenka, puść go!
- Dzwonię po policję! WON!
- Ty kurwo!

Trwało to kilkanaście minut. Taktycznie zarygłowałem drzwi od środka i czekałem na rozwój wydarzeń. Dialog trwał w najlepsze, czasami cichł, by za moment eksplodować kanonadą rzeczowych argumentów z obu stron. Ze strzępów informacji pomiędzy „kurwami” a „chujami”, udało mi się ustalić, że w burzy mózgów brała udział babcia, Helenka oraz typ pod wpływem, którego spotkałem na schodach.

- Pamiętasz jak wczoraj do mnie brzydko mówiłeś? - szepnął mi z nienacka do ucha Platan.

- Co?

- Bardzo brzydkie wyrazy. Bardzo brzydkie. Teraz masz za swoje. Oko za oko. Liść za liść. No. A teraz idź pod prysznic.

Nie było ciepłej wody.

## Hipotermia

Dygotałem jak w febrze, gdy w końcu udało mi się umyć, ubrałem się z powrotem we wszystkie kurtki i zakopałem się pod kołdrą. Nie pomagało. Na dworze zimno jak piorun - telefon mówił, że tego dnia czeka mnie najzimniejsza tej jesieni noc. W pokoju chłodno. W nogach znów ponad 14.0km. Chciałem odpocząć. Byłem głodny. W mieszkaniu trwał konflikt zbrojny i nie wiedziałem czy nie przeniesie się pod moje granice (w końcu drzwi obok był pokój Helenki). Ja pierdole, co za fatum!

Spróbuję rozgrzać się herbatą - postanowiłem. Ale w pokoju nie było oczywiście czajnika. Czyli - chcę czy nie chcę, muszę wyruszyć na front.

Kłótnia ucichła. Z duszą na ramieniu wyszedłem na korytarz. Pierwsze pomieszczenie. Drugie. Do trzeciego zamknięte drzwi. Acha, świetnie. Uwięzili mnie. Nagle jednak drzwi się otworzyły i pojawił się w nich dziadunio. Rozchełstana koszula, wymięte dresy, siwe włosy.

- Ech. Młodzi, młodzi... Kochać się powinni a nie kłótnie panie dzieju - rzucił do mnie ni to przepraszająco, ni to celem zagajenia rozmowy.

Powiedział co wiedział i odszedł. Pojawiła się i babunia, którą poprosiłem o czajnik. Przyniosła mi go, mgliście tłumacząc się z zająć. Okazało się, że Helenka, jej córka, przyjechała do niej na weekend z dziećmi. Typ awanturujący się to jej były, który tu czasami zagląda. Pech (czy może raczej - Platan) chciał, by zajrzał akurat dzisiejszego wieczoru. Ponieważ kolega eks mąż był już w procentowo-bajkowym nastroju, uznał fakt przygotowywania dla mnie na parterze pokoju przez Helenkę - podczas gdy on chciał na piętrze

- za wystarczający powód by jej przypierdolić. Ona nie pozostała mu dłużna. W międzyczasie babciunia próbowała go wygonić (WON) a dziadek pewnie miał na wszystko wywalone.

Nastała cisza. Zrobiłem sobie wreszcie gorącą herbatę. Potem drugą, trzecią i czwartą (siedząc cały czas w kurtce). Zjadłem wałówkę. Popatrzyłem smętnie na piwko, które miałem dziś wieczór wypić w nagrodę za całodzienne trudy. Skupiłem całą swoją jaźń i nadprzyrodzone siły. Jezus umiał przeobrazić wodę w wino, może mi uda się zamienić piwo w grzane. Nic z tego. Wypiłem może ze trzy łyki - reszta połączyła się z Wartą.

Zdjąłem w końcu te kurtki, zgasilem światło i zakopałem się w kołdrze. Jutro ostatni dzień. Zacząłem typować: przebicie dętki, rozwalone kolano, zerwany łańcuch, zgubienie roweru, porwanie przez UFO, atak szarańczy... Zasnąłem.

Epilog

Pla(ta)n

## Kolano

Poranek przywitał mnie rześko. Na oko było z pięć stopni. Na szczęście na plusie. Jazda w krótkich spodenkach jednakże była w tych warunkach czynem na granicy przyzwoitości. Pędziłem co sił w nogach na północny wschód, byle dalej od Pensjonatu pod Kurwami i Chujami. Gospodyni na pożegnanie gorąco zaprosiła mnie na rewizytę. Oczywiście, solennie obiecałem, że jeśli tylko kiedykolwiek pojawię się w Uniejowie, na pewno nie omieszkam ponownie skorzystać z gościny w tak zacnych progach.

Po pięciu kilometrach zaczęło boleć mnie kolano.

## Wehikuł Czasu

Tego dnia Roman zamienił się w wehikuł czasu - stołowałem się pod murami zamku diabła, wędrowałem z nim pośród bagien - najpierw błędząc w XIX wiecznej wsi z tajemniczymi malowidłami na ścianach domostw, później docierając do wczesnośredniowiecznej warowni, której, pośród pustkowi, pilnował siwy starzec z wielkim kosturem. Jadąc niekończącą się równiną pradoliny warszawsko-berlińskiej, trafiłem na samotne wzgórze, z daleka wyglądające jak pozostałość wulkanu. Podróże w czasie towarzyszyły



również też później. Gdy w niedzielne południe zatrzymałem się na krótki odpoczynek, okazało się, że to dopiero Piątek. Po kolejnych trzech godzinach nadgoniłem tempo i z satysfakcją odnotowałem, że jest już Sobota.

Wszystkie te czasoprzestrzenne anomalie wyglądają dobrze na papierze - w rzeczywistości nic spektakularnego się nie działo: zjadłem bułkę z bananem pod zamkiem w Łęczycy, na pobliskich bagnach zwiedziłem skansen i rekonstrukcję grodziska. Wulkan to Wzgórze Świętej Anny a Piątek i Sobota - cóż, lokalna moda na nazwy miejscowości. Od tej pory jechałem już po znajomych terenach. Im bliżej mety, tym kolano bolało coraz mocniej. Smarowanie Dip Rilifem dawało tyle co nic.

Dziesięć kilometrów przed stacją w Sochaczewie (skąd miałem pierwotnie rozpocząć moją podróż) zatrzymałem się po raz ostatni. Platan podsunął mi myśl, by sprawdzić, o której mam pociąg.

- Zacznę sprawdzać, to pewnie akurat zabraknie mi tej kluczowej minuty, którą teraz stracę, grzebiąc w telefonie. Idź pan w cholereę.

## Verwachsung

Miałem rację. Gdy dojechałem przed dworzec, była godzina 18:04. Zajrzałem przez oszklone drzwi na rozkład jazdy. Koleje Mazowieckie - Sochaczew - Warszawa Wschodnia - odjazd: 18:04.

Fuck! Na peron drugi właśnie wjeżdżał pociąg. Ruszyłem pędem, trawersując przejściem podziemnym i w ostatniej chwili włączyłem się do składu.

Koniec.

To naprawdę koniec?

Ale gdzie dzisiejsza klątwa?

- Dziś nie będzie. Prima Aprilis - odezwał się Platan, gdy siedziałem już, z zakupionym u konduktora biletem.

- Jaki Prima Aprilis? Jest jesień!

- Drzewa obchodzą 29 września.

- Bardzo zabawne.

- O to przecież chodzi.

- A co Ty dziś taki miły i łaskawy, co?

- Jestem miłym, dobrym, porządnym, niemieckim zresztą, drzewem.

- To po co były te klątwy, te kłody pod koła? Przecież ja prawie po trzykroć umarłem!

- Wiem, wiem. Ale to wszystko miało sens cel. Taki był plan. Bez tych wszystkich przygód nic by nie wyszło.

- Co by nie wyszło??

Zespół trakcyjny Kolei Mazowieckich przez następną godzinę zamienił się w Tajemniczy Ogród. Platan rozsiadł się naprzeciw mnie. Wyciągnął konary pod siedzenia, rozpostarł pędy wzdłuż oparcia i na siedziska, i sięgając coraz dalej i dalej, zaanektował dla siebie cały przedział. A potem pochylił się ku mnie swoimi zrośniętymi gałęziami.

- Słyszałem o tym waszym Bartku, Mieszku i innych takich, i postanowiłem, że chce być lepszy. Chcę zostać najśłynniejszym, po Janie Pawle, drzewem w Polsce!

- Jakim Janie Pawle?

- Oj, może coś mi się pomieszało. W każdym razie - jak wrócisz do domu - opisz całą wyprawę. Ale tak, żeby było wiadomo, że to ja tu jestem najważniejszy! Żadne tam przygody na rowerze! Moja klątwa musi być najważniejsza. Będzie ci łatwiej bo masz o czym pisać - zadbałem w końcu o to. Jak już będziesz mieć wszystko gotowe, musisz to wydać. Ale nie na papierze! Bez zabijania moich braci. PDF albo coś.

- A co ja z tego będę miał?

- Mam wykoleić pociąg?

- Co ma być na okładce?

- Ja. Wiadomo. I w tytule musi być moje imię!

- A jak godność szanownego pana?

- Verwachsung Der Zweigen. Ładnie?

październik 2024